

II/2324/1
Warszawa, dn. 20/VII 1992 r.

WPan
Krzysztof Jasiewicz
KARTA
w miejscu

Szanowny Panie,
w związku z prowadzonym przez Pana t e m a t e m "Wysiedleni do Polski" chciałabym zwrócić uwagę na pewną sprawę, moim zdaniem ważną, a przemilczaną lub prawie przemilczaną w pisaniu o repatriacji. Proszę wybaczyć, że przedstawię ją tak, jak do mnie dotarła.

Latem 1960 r. wracając z Indii do Polski, spędziłam wieczór i noc w Moskwie, w hotelu dla czekających na przesiadkę i odlot za granicę. Zakwaterowano mnie w pokoju 2-osobowym ze znacznie starszą ode mnie, m.w. 55-letnią, prostą kobietą. Ponieważ nie znam rosyjskiego, aż do godzin nocnych, mimo różnych prób nawiązania kontaktu, wiedziałam tyle, że przyjechała z Kijowa, a leci do Londynu. Koło północy, przepakowując swój rozpadający się bagaż, odruchowo rzuciłam jakieś "cholera" czy "psiakrew". I oto współmieszkanka, płacząc i śmiejąc się jednocześnie, dosłownie rzuciła mi się na szyję! Zaraz się też okazało, że nie tylko rozumie, ale całkiem dobrze mówi po polsku. - Pani jest Polką? - pytam. - Nie, ja Ukrainka z Kołomyi. I znów mnie ściska i płacze, jakie to niezwykle szczęście, że mnie, Polkę, spotkała, Polkę polską, w dodatku jadącą do Warszawy. - Piękna ona, ta Warszawa? - pyta takim tonem, jakim zakonnica mogłaby mówić o Rzymie, Żyd wspominać Jerozolimę... Od początku była dla mnie życzliwa, pomagała mi np. w okropnej hotelowej restauracji; życzliwa i zaciękawiona jak dziecko wobec... bo ja wiem... kosmity? Teraz zaczęła mnie traktować z mieszaniną serdeczności rewerencji i czegoś na kształt nostalgii. Nawet moje spodnie-wycieruchy i sweterek odsłaniający ramiona, rzeczy, jakich w Moskwie, a co dopiero w Kołomyi, nikt w tamtych czasach nie nosił, zostały jakby zalegitymizowane, uszlachcone polskością.

Rozmawiałyśmy do świtu. Trwała przy twierdzeniu, że jest Ukrainką, ale, powiedziała, jej mąż jest Polakiem. Życie spędziła w Kołomyi, a Kołomyja, pani wie? to była kiedyś Polska. A jak Polska, no to czemu miałyby nie znać polskiego? Poza tym w okolicy mieszka kilka polskich rodzin; ta rodzina ma jedną polską książkę, tamta ma dwie, i wymieniają

je między sobą. Wyliczyła mi te książki, było ich chyba z dziesięć, same lektury szkolne, prawdopodobnie ślad po polskich szkołach powszechnych, pamiętam, że była wśród nich Konopnicka. Książki te wymieniali i czytali dorośli, nie dzieci, częściowo dlatego, że dzieci "nie miały ciekawości", a częściowo, bo dzieci jak to dzieci, łatwo mogły powiedzieć o nich komu nie trzeba. Aczkolwiek, twierdziła, teraz nie ma już takiego strachu i wszystko idzie ku lepszemu; bardzo wierzyła w Chruszczowa.

Wierzyła też, że to Chruszczow osobiście załatwił jej paszport. Jej najstarszy syn został pod koniec wojny zmobilizowany i - oficjalnie - zginął czy też zaginął. W rzeczywistości został na Zachodzie i teraz, w roku 1960, był, jak mówiła, uczonym-fizykiem, a mieszkał w Anglii, w Londynie. Jak rodzice dowiedzieli się, że żyje, a potem innych szczegółów, i jak mimo strachu - posiadanie takiego syna było przecież faktem mocno obciążającym - doprowadzili do uznania tej rzeczywistości przez władze, to temat osobny, tutaj zresztą uboczny. Możliwości, że syn wraca lub przyjeżdża choć w odwiedzinach, nigdy nie brali pod uwagę; starania o ~~wyjazdxxxxxx~~ zezwolenie na wyjazd do niego matka rozpoczęła w roku 1956, a więc trwały ^{trzy} lata.

ponad

Gdybyście byli w Polsce, byłoby łatwiej, zauważyłam i spytałam, czy po wojnie nie chcieli się repatriować. Mieli przecież prawo, skoro mąż jest Polakiem... Nie zdawałam sobie sprawy, jak bolesnej kwestii dotykam. Żal buchnął z niej, jakby to było wczoraj.

- My chcieli! I jak chcieli! Ale my byli biedni...

- A co to ma do rzeczy?

- No, jakto? Biedni, znaczy, nie mieli, żeby zapłacić.

Zaczęłam się dopytywać: jeśli trzeba było płacić, to komu, ile, jak się to odbywało... Rozśmieszyła ją sugestia, że powinny być jakieś pokwitowania. Zapłatę brał mężczyzna organizujący akcję repatriacyjną - nie pamiętam, czy określiła go bliżej, chyba tylko nazwą, rosyjską bądź ukraińską, urzędu - brali także jego pomocnicy i osoby mające z nim cokolwiek wspólnego, np. mieszkające w tym samym domu. Zdarzało się, że mimo uiszczenia zapłaty ~~niekxxxnxxx~~ jakaś rodzina lub ktoś z jej członków nie znalazł się na liście transportu, płacono wtedy ponownie starając się dotrzeć do samego organizatora, ew. znaleźć innego niż poprzednio, uczciwszego w pojęciu zainteresowanych pośrednika. Wysokość zapłaty była róż-

na, nie zawsze też płacono ją w pieniądzu czy walorach. Moja rozmówczyni, a ściślej jej rodzina, miała za wyjazd do Polski zapłacić... szafą. Zdumiałam się, bo cóż to niby w takich okolicznościach - szafa? Ona tylko pochlępuje, więc pytam dalej. Co to była za szafa? Zabytkowa? Wyjątkowo piękna? Z brylantami w przemyślnych skrytkach? - Ech, pani... Rzecz w tym, że nie mieli szafy. Ani pięknej, ani zwyczajnej; żadnej. Kiedyś, przed wojną, mieli, ale wtedy już nie. N i c nie mieli, mieszkali w ziemiance, dzieci - razem z tamtym zmobilizowanym miała ich pięcioro - dzieci chorowały z głodu... O własnej nędzy mówiła zresztą niechętnie, jakby wstydziała się jej; mówiła, że nie jestem w stanie zrozumieć. Co mogę jeszcze dodać? Dałam jej wachlarz z pawich piór, bo w jakiś tajemniczy sposób kojarzył jej się z Polską, a ona ofiarowała mi pieluchę, którą związałam wiezione z Indii książki. Nie pamiętam jej nazwiska. Na pewno dałam jej swój adres, ale nie odezwała się - ani z Londynu, ani też z Kołomyi. A może list "zaginął"? Nieraz o niej myślę, i za każdym razem ta historia staje mi w gardle. Jestem przekonana, że mówiła prawdę, a także - że mówiła, w pewnym sensie, z a w i e l u. Biednych, prostych ludzi zawsze jest wielu, a w tamtym czasie, zaraz po wojnie, musieli być na Kresach żywiołem dominującym. Jaka część z nich chciała i nie mogła się repatriować do Polski, bo nie miała na łapówki dla przedstawicieli ówczesnych władz polskich? Kim byli, jakie nosili nazwiska gangsterzy żądający ostatek, ba! nieistniejącej koszuli za uznanie nędzarza Polakiem? Jak się dalej, po tak pięknym otwarciu, potoczyły w PRL-u ich losy? Bo tamci zostali w Imperium i wiemy, co to znaczy. Piszący wspomnienia, jeśli czasem poruszają te sprawy, to półgębkiem, na marginesie. Szczęśliwie byli w stanie zapłacić bądź zapłacił za nich kto inny: przyjaciele, polskie organizacje podziemne, brak szafy czy innego bylejakiego przedmiotu nie decydował o ich losie i losie ich dzieci, nie piszą więc o tym. Co jest naturalne i zrozumiałe we wspomnieniu konkretnej, pojedynczej osoby, w pracy zbiorowej, o ambicjach monograficznych, wygląda inaczej. Ale może się mylę, może tytuł "Wysiedleni do Polski", skądinąd świetny, oznacza zainteresowanie tymi tylko, którzy nie chcieli porzucać swoich 'małych ojczyzn', a których wysiedlono właśnie?.. Jeśli tak, opisana historia nic tu nie ma do rzeczy. Jeśli jednak nie, być może, przyda się Panu

jako swego rodzaju materiał pomocniczy przy wyborze i redagowaniu tekstów do książki czy pisaniu przedmowy. Ja sama jako małe dziecko mieszkałam tuż przed wojną na Kresach, należałam jednak do rodziny uprzywilejowanej, bo władnej - o ile to w ogóle możliwe - kierować swoim losem. Może dlatego tak bardzo mi zależy na tym kawałku prawdy, który był prawdą mojej rozmówczynie i jej podobnych, niezdolnych wtedy dać szafy, a teraz dać świadectwa.

Z wyrazami szacunku

Magdalena
/Magda Leja/

ul. Grzybowska 16/22 m ~~14~~
1307

00 132 Warszawa

tel. 24 34 69

© ARCHIWUM HISTORICZNE